



Napisał Andrzej Urbańczyk

Ilustrował Bogusław Orliński

Wiatr przestał wiać dokładnie o godzinie piątej dwadzieścia. Jak nożem uciął. Zasygnalizowały to wszystkie stacje. Na całym, calutętkim świecie.

Cisza uderzyła natychmiast z całą swoją mocą: drzewa przestały szeleścić liśćmi, chmury zastygły w martwym oczekiwaniu, stanęły skrzydła gigantycznych turbin dostarczających ludziom energii, opadły latawce...

Na wszystkich oceanach i morzach zwisły kolorowe żagle i tysiące jachtów zaczęło kołysać się na martwej fali. Ale i to nie trwało

długo. Fale, gdy tylko przestały być poganiane podmuchami wiatru, poczęły się wygładzać, płaszczyć, aż wreszcie rozpląnęły się cichnąc w ogromie wszechoceanu.

Zapanowało milczenie. Upiorna, zamraczająca cisza na milionach kilometrów kwadratowych.

Metalowe ptaki, którym przypomniano prawo ciężenia, siadały na polach i zasłanych wiosennym kwieciami łąkach. Daleko, daleko od swych zacisznych hangarowych gniazd. „Coś takiego!” – wściekali się szybownicy. „Żeby tak nagle ni z tego, ni z owego! Poska-

rżymy się na meteorologów” – mruzczeni. „Miało wiać z zachodu 25 km/godz. z tendencją wzrostu siły wiatru ku wieczorowi...”

Tak samo kłęli żeglarze. Na całym świecie: „Do portu daleko, a wiatru ani śladu. Do diabła z takim meteo!” Ale prognostycy nie byli winni...

Ludzie nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka. Sprawa była na razie na poziomie telewizyjnej ciekawostki, trzeciej, no, może drugiej strony południowej gazety.

Ale już przed północą wiatr, mimo że go nie było, wtargnął na pierwsze strony wszystkich dzienników: radiowych, telewizyjnych i tych tradycyjnych, papierowych. „PAP. OD SZEŚCIU GODZIN UNIERUCHOMIONE SĄ WSZYSTKIE, POWTARZAM, WSZYSTKIE TURBINY POWIETRZNE, NA SZEŚCIU KONTYNETACH ŚWIATA. JEŚLI WIATR NIE POWRÓCI W CIĄGU 18 GODZIN, NASTĄPI WYCZERPANIE BATERII I GLOBALNY KRACH ENERGETYCZNY. ŚWIATOWA RADA LUDZKOŚCI GOTOWA JEST ZARZĄDZIĆ WPROWADZENIE STANU WYJĄTKOWEGO...”

Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi: Nie wieje? To będzie wiał. Skąd w ogóle taki problem?

Ale wiatr po prostu zniknął. Przepadł, uciekł czy też zaszył się w najgłębszą z niebieskich dziur. Ten wszędobylski figlarz przestał rozwiewać grzywki naszych dziewcząt i podrywając spódniczki odsłaniać opalone uda ich właścicieli. Przestał zwiewać papiery z biurków uczonych i sypać piasek na naoliwione plecy plażowiczów.

Przed świtem wszystkie kraje ogłosiły stan nadzwyczajny. Wstrzymano dopływ prądu elektrycznego, oszczędzając resztki energii na użytek szpitali i ratownictwa.

Denerwowano się, złościło, narzekano na nieudolność władz i lamentowano. A przecież ludzie nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka!

Rano spikerzy grobowym głosem podawali, że od 12 godzin na całej kuli ziemskiej nie zanotowano najmniejszego tchnienia wiatru. Żaden z meteorologicznych wiatraczków, fur-

czących zazwyczaj frywolnie na masztach, nie obrócił się o jeden stopień. Wiatr po prostu przestał istnieć...

Pośpiesznie instruowano słuchaczy, jak produkować domowym sposobem kaganki, używając zapasów oleju lub margaryny. Jak chronić się od żaru w krajach tropikalnych, gdzie klimatyzacja przestawała właśnie działać. Jak ratować się przed zamrażaniem na Alasce.

Teraz, gdy zabrakło wiatru, wszyscy zrozumieli, jak gigantyczną wykonywał on pracę: pędził chmury, dźwigał szybowce, pchał żagle, obracał nieskończoną ilość śmigieł elektrowni wiatrowych, które pod koniec ubiegłego wieku – gdy wyczerpano paliwa – zaczęły wyrastać jak przysłowiowe grzyby po deszczu, deszczu, jaki spada oczywiście wtedy, gdy nasz dobroczyńca przyniesie ciężkie burzowe chmury... Wiatr łopotał sztandarami, suszył pieluszki porozwieszane na nylonowych linkach, kołysał łanami pszenicy...

To wiatr przecież zwykle bije także wściekłymi falami sztormów w ustawione nad brzegami oceanów elektrownie morskie zamieniając swą energię w strumienie elektronów mknących przewodami ku dalekim miastom. Strumienie dające kolorowe obrazy naszych telewizorów, bajeczną muzykę Chopina i Mendelssohna sącząca się do uszu ze słuchawek stereofonicznych, gorące, chrupiące tosty wyskakujące z piekarników i radosne: „Przyjeżdżam do ciebie na całe wakacje”, wybiegające spod drukarki pocztowego telegrafu.

Oprócz tego wszystkiego wiatr potrafił też czasem zasawolić, dosłownie jak jakiś figlarz czy psotna żywa istota. Gorzej, również wściekał się i niszczył. Zdierał tysiącami dachy w Południowej Ameryce, łamał drzewa w Europie, porywał w kurzawie tony gleby w Azji. Odważał się nawet topić potężne przecież statki...

„Głupstwo i fluktuacje lokalne. Wiatr musi wiać” – śmiali się ci, którzy wiedzieli wszystko. Może się przecież zdarzyć, i jest to w zgodzie ze statystyką, że wiatr przestaje wiać, nawet na całej kuli ziemskiej. Może się to trafić tak samo, jak owo słynne, zapamiętane ze szkoły podskoczenie leżącej na stole cegły,

jeśli oscylacje jej atomów spolaryzują się w jednym kierunku... To, że nikt tego jeszcze nie widział, wcale nie znaczy, że jest to niemożliwe...

„Nie martwcie się, to tylko przejściowy kłopot. Tak, jak może się trafić, że milionowy tłum zamilknie naraz, tak może zamilknąć na całym świecie wiatr. To tylko chwilowe...”

Ale po kilkunastu godzinach meteorolodzy i statystycy nie śmiali się już odzywać. Może zrozumieli swój błąd? A może, i to jest najbardziej prawdopodobne, bali się przerażającego w swej mocy milczenia wiatru?

Trzeba jednak, z obowiązku kronikarskiego, zapisać, że byli i tacy zuchwalcy, którzy nawet przez kilka dni próbowali bredzić coś o gradientach temperatur, wektorach prędkości, ruchu mas powietrza i statystyce kwantowej.

Dalsze kłęski nadeszły szybko. Chmury, których nic nie rozpraszało, zappełniły niebo gęstą, szarą, wciąż grubiejącą warstwą. Zaczęło się robić najpierw ponuro, potem wręcz ciemno. Nie kończące się węże samochodów zwalniały jazdę korkując autostrady; ich krzemowe mięśnie – komórki fotoelektryczne – nie nadążały zamieniać gęstniejące szarżyzny w przebyte kilometry. Ale ludzie, ci niezwykli optymiści, nie poddawali się łatwo. Wychodzili z zastopowanych aut i brnęli pieszo do domów.

Prali ręcznie koszule w wodzie donoszonej z rzek. Różni na kawałki wypożyczonymi z muzeów pilami meble na opał. Oczywiście, mowa o antykach – plastikowe nie chciały się przeciw palić. Gotowali pośpiech-zupki, puszczając z dymem stopy starych gazet, wdychając przy tym, gdy mimo woli zauważali doniesienia o huraganach, tornadach czy cyklonach.

Wieczorem ostatnie samoloty transportowe spadały ciężko na runwaye. Załogi ich patrzyły z osłupieniem na znikające światła sygnalizacyjne, gasnące jak nadzieja, na matowiejące ekrany radarów.

Zmęczonych ludzi czekała teraz daleka droga do domów. Przez wygasłe stacje metra, martwe parkingi, zamarte przystanki autobusów...

Potem, pierwszy raz od czasów Popowa i Marconiego, w eterze zaległa cisza. Zamilkły nadajniki radiowe. Telewizja nie nadawała już od wielu godzin...

Z milionów lodówek na całym świecie zaczęły wypływać na podobieństwo lawy rzeki rozpuszczonych lodów (najszybciej rozmrażały się waniliowe), z zamrażalników – tony stopionego lodu.

Uśpione dotąd mrozem bakterie łapczywie zaczęły kisić mleko, atakować jeszcze przed chwilą oszronione befsztyki i świeżutki, rumiane krewetki.

Brak wiatru, którego niestrudzona działalność, rozprowadzając ciepło, łagodziła klimaty, uderzył jak cios w mieszkańców stref krańcowych. W tropikach prostopadle promieniowanie słoneczne rozpałało do nieprawdopodobnej temperatury ziemię, zda się do czerwoności. Zabrakło tego, który ożywiając paśaty zabrałby mordujący żar hen, ku regionom polarnym, kto przywracającym życie tchnieniem ochłodziłby pękającą ziemię i ślaniających się pod ciosami słońca jej mieszkańców.

Tymczasem w okolicach podbiegunowych błogosławione ciepło niesione dotąd przez wiatry, przestało topić narastające lody. Śnieg i mróz były w ludzi, w zwierzęta i we wszystko, co człowiek stworzył, z zamraczającą mocą.

Kłęska nabierała rozmachu w miarę postępowania. Gdy na Kamczatce i Alasce drzewa pękały z mrozu, na równiku ogień płynący nieubłaganie z nieba zaczął zabijać rośliny. Białko ich ulegało denaturalizacji nie mogąc wytrzymać żaru. Ginęły krzewy, trawy, puszcze. Wydając ostatnie tchnienie z wyschniętych nozdrzy padały żyrafy, młode lwy, puchate małpy i pstrokate papugi.

Żar i pragnienie zabijały wszystko, niczego nie oszczędzając.

Gdzie indziej zaś autostrady, lotniska, ulice i place zginęły pod białym, grzebiącym wszystko całunem. Śnieg zasypywał z równą obojętnością szklarnie, boiska hokejowe, pływalnie i nie nadążające odśnieżać się elektrownie słoneczne...

Wiatr przestał mieszać atmosferę Ziemi i wkrótce powstały potworne anomalie. Całe regiony rozgrzewały się do nieprawdopodob-



nych temperatur, podczas gdy inne bezustannie pozostawały w cieniu nieruchomych chmur, wiszących jak groźba, której się nie spodziewano...

Potężne statki o metalowych żaglach, które z końcem XX wieku znów zaczęły zdobić oceany, transportując bez zużywania energii towary wzdłuż pasatowych szlaków, stały bezradnie. Załogi ich szybko wyczerpywały resztki nadających się jeszcze do spożycia zapasów.

Deszcze uderzyły nieco później. Z czarnych chmur waliły się strumienie, rzeki, oceany wody. Zalewając, topiąc, niszcząc.

Umęczeni ludzie daremnie czekali na chwilę wytchnienia. Lejąca się z nieba niemal gorąca woda parowała natychmiast i siekące strugi ulewy, zamieniające w jeziora powodzi całe połacie ziemi, wracały natychmiast do chmur, by stamtąd, ochłodzone, wyruszyć znowu w szaleńczy tan i spadać gwałtownie i bezlitośnie.

Kiedy ludzie zrozumieli, że klęska jest nieodwracalna i jedyne, co pozostało, to pogodzić się z nią – odczuli to jak największą ulgę. Pojęli, że muszą przystosować się do strasznych warunków.

Wszystko było już niemal gotowe na przyjęcie i zaakceptowanie klęski. Nawet Ministerstwo Braku Wiatru (powołane na miejsce Ministerstwa Energetyki) zdołało obsadzić stanowiska 124 sekretarzy, 240 radców i bez liku konsultantów. Zaś wiele pomyslowych osób w rejonach wiecznych deszczów poradziło sobie zmieniając usytuowanie osi stacji wiatrowych na pionowe i zmieniając je tym samym na pędzone ulewami turbiny wodne.

Po prostu ludzie zrozumieli, że jakkolwiek trudne są nowe warunki, muszą im poddać i że żyć po prostu trzeba...

I wtedy właśnie na plenarnym zebraniu, gdy wszyscy mówili już o rozmiarze klęski czy o nadziei, ale o konieczności zaaprobowania zaistniałego stanu rzeczy, obojętnie, jak ciężki on jest, zdarzyło się coś niezwykłego.

Mówca, człowiek tak niewielkiego wzrostu, że zaledwie był widoczny zza masywnej trybuny, uśmiechnął się ciepło. Ci, którzy go znali, uważali, że jest osobą niepoważną, niepoprawnym fantastą i marzycielem. Mówiono o nim

„genialny konstruktor zamków na lodzie”, śmieszny osobnik w staroświeckim garniturku i takichż okularach. Gość, który nie rozstaje się z wiatromierzem i wytartym futerałem mieszczącym zawsze źle nastrojone skrzypce.

Właśnie poprawił kolejny raz na wielkim nosie owe staroświeckie okulary, rozejrzął się po szczelnie wypełnionej sali, podniósł dłoń, jak dyrygent czy może wódz chcący pociągnąć za sobą wszystkich, i zaczął:

– Panowie! Nie traćmy nadziei. Cały kłopot wynika z faktu, że ufając zbyt w formułki i równania, usiłowaście traktować wiatr jako zjawisko fizyczne. Że zrobiliście zeń, istoty tak ruchliwej, figlarnej, niesfornej, obdarzonej tak wichrową naturą, laboratoryjny eksponat. Drodzy koledzy! Wiatr, który goni po dachach, który porywa meloniki i parasole, który pcha statki, strząsa nocą gruszki w sadzie, łaskocze karki wyłącznie nastolatka, jak i starców, nie jest wyłącznie martwą sumą wektorów. Figlarz ten i moczarz w jednej osobie, tak jak każdy z nas ma swego ducha, swą osobowość, dowcip, humor i maniery. Toż wiał nam przed tysiącami lat pchając „długie łodzie Wikingów”, szeleścił papierusem nad Nilem faraonów, czochrał perukę sir Isaaka Newtona i długie włosy panny Bardot. Obracał wiatraki, żarna, produkował mąkę, energię elektryczną, pompował wodę, pędził statki przez oceany, pisał wiersze, mieszając według swego widzi mi się rękopisy poetów. My zaś przez te wszystkie lata powtarzaliśmy do znudzenia swoje gradienty, kilometry na godzinę i atmosfery naporu wiatru na ściany budowli. Każda, powtarzam, każda najprymitywniejsza i najsłabsza, najlichsza istotka w Kosmosie znudziłaby się tym na śmierć od milionów lat. Cóż dopiero taki urwis, wicherek i psotnik, taka kwintesencja zmienności, fantazji i nieokielzanej swobody jak wiatr!

– Panie! Panowie! Co tu dużo mówić. Wiatr nie przestał wiać, bo jakies tam masy, dyny, skalary i miary. Nie dlatego, że zasady termodynamiki, kalorie i teorie. Nie z powodu stopni Kelvina, centymetrów kwadratowych i zmian dobowych. Te bowiem od początku świata znajdują się w najlepszym stanie...

Przerwał na chwilę, bo nie wiedział, jak ma

to powiedzieć. Przygotowując wypowiedź myślał, że sformułowanie nasunie się samo, lekko i prosto w trakcie mówienia. Zawiódł się, i to speszyło go mocno. Wreszcie, czując jak serce zaczyna uderzać mu coraz szybciej, a czas uciekać, rozłożył ręce w geście nieporadności i wyrzucił z siebie:

– Kochani! Nie wiem dokładnie, jak mam to powiedzieć. Do diabła z naukowym sformulowaniem i opisem: Wiatr się zbuntował! Przesłał wiać dlatego, że zabrakło mu siły. Wprost przeciwnie, ucichł, bo chciał nam pokazać, co potrafi. Po prostu znudziło się mu... A może poczuł się obrażony za traktowanie go z komputerem w jednej, a logarytmami w drugiej ręce?... Wiatr żyje. Ryczy, duje, dmucha, szumi, huczy, bije, pędzi, wieje, przewraca, zdziera! Ukręca, mąci, burzy, szeleści, łamie, wyrywa, wykręca, gwizdże, rwie, popycha, targa, hula, podrywa, porywa i drze. Wpada, obraca, ucieka, pędzi, dmie, leci, łasi się, pieści!

Wiatr służy nam! A my zamiast przyjaznych rąk czy serca wysuwamy ku niemu coś tak tuzinkowego jak kołowrotek wiatromierza...

– Kochani! Wiatr się zbuntował! Obraził. Chciał dać nam naukę. Ale ten niespokojny pędziwiatr i dobroczyńca ludzkości nie potrafi przecież długo siedzieć cicho. Taka już jego wichrowa-wietrzna natura. Myślcie sobie, co chcecie. Ja wiem swoje. Trzeba nam trochę cierpliwości, cierpliwości, której wiatr absolutnie nie ma. Znam go, bo badałem jego obyczaje przez całe życie. Głowę daję, że nie wytrzyma, żeby nawet pękł! Zmartwieniem moim zaś, podczas gdy wy zamęczacie się, jak strasznie będzie wyglądało życie bez wiatru, troską moją jest to, by kiedy wreszcie znudzi się mu siedzieć cicho, nie zahulał nam za to zbyt mocno! Dziękuję!

*

I czekano. Czekano przez godziny długie jak dnie i przez dnie całe długie jak miesiące. Czekano w mrozie, skwarze, ulewach i suszach, które dawno opróżniły wszystkie życiodajne zbiorniki. Czekano w bólu i zwątpieniu, ale również w wierze.

I wiatr powrócił. Powrócił tak nagle i niespodziewanie, jak znikł. Tam, gdzie zalegały dotąd chmury, zaświeciło pierwszy raz wesołe słońce, ciekawie patrząc na ziemię. A gdy zapadła noc, zaślniły gwiazdy, o których zapomniano. Na masztach załopotaly radośnie pożółkłe flagi. Zefir wypełnił prężnie żagle jachtów. Pomknęły pod niebo latawce. Ruszyły fale oceanów, biegnąc pod białymi grzywami tysiące mil od kontynentu do kontynentu.

Tam, gdzie słońce zabijało żarem ziemię i życie, spadł kojący deszcz, a tęcza zaśpiewała pieśń dziękczynienia. Ruszyły turbiny pchające biliony elektronów w wymarłą miódz kabli. Dziewczęta zaczęły obciążać swoje sukienki tym jednym, tak wspaniałym w swym rodzaju gestem, a ich towarzysze jęli dłońmi poprawiać rozwiewane niesfornie czupryny. Pomknęły pod niebo szybowce, igrając ze słońcem, chmurami i grawitacją.

Tam, gdzie wszystko zabijał mróz, zaczęły topnieć lody i ruszyły rzeki. Odżyła ziemia, zaczynając goić swe rany, zakwitły kwiaty, odetchnęły zwierzęta, te które ginęły od mrozu i te które umierały z pragnienia:

Odetchnęli ludzie, nawet ci, którzy wierzyli temu, co mówił ów marzyciel i oryginał z rozstrojonymi skrzypcami. Wszystko zaczęło wracać do normy. Radośnie, szybko, spontanicznie. A wiatr wiał, hulał, pędził, nie mogąc się powstrzymać od radości, nacieszyć się swym ruchem, dąć, gwizdał i jak gdyby chciał odrobić wszystkie zaległości, gnał przez morza i kontynenty, zamrażał bezalkoholowe koktajle w Brazylii, ogrzewał domy w Korei, syntetyzował płynne paliwa pod Moskwą i nawadniał bezkresne plantacje pomarańcz w złotej Kalifornii...

A ludzie, którym wydawało się, że wiatr przyniósł im z powrotem młodość, śmiali się i wołali jak dzieci, gdy biegli borykając się z tym niewidzialnym mocarzem. Patrząc zaś na wirujące skrzydła turbin, na wydęte żagle, na łopoczące flagi, na falujące w podmuchach wiatru włosy dziewcząt i łany zbóż, szeptała słowa magiczne: „Wietrze, wiew zawsze!...”

Pacyfik, 1978 r. W strefie cisz równikowych na pokładzie szkunera „Morning Star”